

ZE ŚWIATA.

„Atenami polskimi“ zwiemy zwykle Kraków. Uważamy miasto nasze za stolicę, w której tronuje kunszt ojczysty... i poniekąd mamy słusność, suma bowiem usiłowań w nim dokonywanych przez garstkę ludzi dobrej woli w celu rozbudzenia prawdziwego zamiłowania do sztuki, oraz tryumfy, jakie wielcy artyści krakowscy odnoszą na wszechświatowych popisach i turniejach, przewyższają niezawodnie w trojnásób to wszystko, co razem wzięwszy, czyni i zdobywa dla niej Poska cała. A jednak, jakże nisko jeszcze stoi w starym i pięknym grodzie wykształcenie artystyczne i jak drobną jest ofiarność na zadania sztuki jakkolwiek ta ofiarność właśnie, mogłaby stać się doskonałym interesem dla wyzyskujących ją umiejętnie, gdyby w swej finansowej działalności opierali się na wspomnianem wyżej wykształceniu artystycznej. Co prawda przedsiębiorczość w kierunku, o którym mowa, nie znajdzie u nas jeszcze twardego gruntu pod nogami. Codzienne zetknięcie z faktami uparte go zacyfowania, świadczy smutnie o obojętności ogółu dla każdej pracy, podejmowanej celem nadania naszej sztuce i naszemu młodocianemu przemysłowi artystycznemu indywidualnego, rodzimego, szczególnie nam przyrodzonego charakteru, tudzież dla popularyzowania poczucia dobrego smaku w masach. Ciągłe dotąd i na każdym kroku imponuje nam „przyjemna tandeta“ zagraniczna, wwożona do nas dlatego jedynie, że na miejscu, w którym wykonana została, nie znalazła już pokupu. Miała ona swoją rację bytu niegdyś; dziś, kształtując się tam ciągle masy, chociaż ceną jej minione zasługi, szukają czegoś wyższego i doskonalszego, a nadprodukcję dawnych kierunków i stylów posyłają krajom, stojącym na niższym poziomie kultury. My ją przyjmujemy, bo nie posiadając uszlachetnionej wrażliwości artystycznej, nie odczuwamy potrzeby odepchnięcia rzeczy marnych, przeżytych i już bezwartościowych, a popierania świeżej wartości swojskiej, często szczerze oryginalnej i noszącej na sobie cechy narodowe.

Żeby to stwierdzić, dość jest zacytować jeden jaskrawy dowód. Tak zwana inteligencja krakowska bardzo mało zajmuje się wzorową, pełną poświęceń działalnością towarzystwa, noszącego miano „Polska sztuka stosowana“. Bo, że wcale liczna publiczność uczęszcza na wystawy przez nie urządzone, to jeszcze nie zasługa, ani poparcie, jakiego żądać i wymagać dlań należy od rozumnego ogółu. Wiemy z wieloletniego doświadczenia, jak bezmyślnie gromadzą się tłumy na wszelkich ekspozycjach. Większość zwiedza je dla zabicia czasu lub spotkania się ze znajomymi, przedewszystkiem zaś dla pokazania się w pośród mniej więcej wytwornego zbiegowiska. Wymienione towarzystwo, pomimo bardzo niskiej opłaty, składa się dotychczas ze szczupłej grupy członków i rozporządza skromnymi funduszami, a jednak zdziałalo już wiele na niwie przemysłu artystycznego, który nietylko, że sam przez się jest wielce doniosłym czynnikiem cywilizacyjnym, lecz przyczynia się skutecznie do kształcenia upodobania w sztuce prawdziwej. Trudne są i niezmiernie uciążliwe warunki, w jakich „Polska sztuka stosowana“ pracuje obecnie, a jednak wyniki jej działalności, zwłaszcza w zakresie typograficznym i kilimeczarskim, jak na krótki czas istnienia stowarzyszenia, wydać się muszą bardzo dodatnio. Samo wydawnictwo „Materiałów“, świetnie redagowanych przez dra Jerzego Warchałowskiego i utalentowanego artystę-malarza Edwarda Trojanowskiego (a których zeszyt piąty ukazał się w tych dniach na widok publiczny) jest jego wielką, chociaż dotąd niedostatecznie ocenioną zasługą, przyczynia się bowiem do poznania bogatych i różnorodnych, a starannie zbieranych zdobniczych motywów ludowych, z których nasz przemysł artystyczny czerpać powinien pomysły, a nawet poniekąd i wzory. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo krakowskie, już teraz bądź co bądź odnoszące znaczne korzyści dzięki sztuce polskiej, przyciągającej majetnych ziomków ze stron dalekich, a nawet i cudzoziemców do naszego miasta, zrozumie nareszcie, że ono przedewszystkiem, w miarę sił i środków (których mówiąc szczerze nie braknie mu wcale), powinno przyczynić się do ugruntowania pod nią trwałych fundamentów, przez czynny współudział w zakładach, instytucjach i przedsiębiorstwach, mogących jej zapewnić stały rozkwit. Sztuka czysta dzisiejsza i jej przemysłowo-artystyczna pasierbica sztuka stosowana, jako rzeczy żywe i o żywotności naszej dające świadectwo, wraz z martwymi historycznymi zabytkami i pomnikami przeszłości, to kapitał, z którego, mieszkający naszego grodu ciągną zyski, niechże dbają

o nie, otaczając opieką i pieczęą pierwsze, nie niszczyć i utrzymując w pierwotnym ich stanie — drugie.

Niestety i co do ochrony pamiątek dzieje się u nas rozmaicie, a często niekoniecznie dobrze. Niejedno smutny czyn wandalizmu moglibyśmy tu zanotować, lecz... nie teraz jeszcze, bo przykry przedmiot potrzebuje obszerniejszego omówienia, na które w bieżącej kronice nie wystarczyłoby miejsca. dziś zaś przedewszystkiem pragniemy podzielić się z czytelnikami miłą nowiną. Wydział krajowy postanowił w jak najkrótszym czasie podjąć restaurację zamku królewskiego na Wawelu. W tym celu wybrał komitet, który ma obmyślić i ułożyć organizacyjny program odnowienia. Do grona osób powołanych, należą: namiestnik Andrzej hr. Potocki, Leon hr. Piniński, Karol hr. Lanckoroński, Władysław Łoziński, Dr. Józef Wereszczyński członek Wydziału krajowego, prezydent miasta naszego Dr. Leo, profesorowie uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego Dr. Maryan Sokołowski i Dr. Jan Bołoz-Antoniewicz, Edward hr. Raczyński prezes Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, tudzież konserwator zabytków sztuki i pomników historycznych Dr. Stanisław Tomkowicz. Na prośbę marszałka krajowego, wniesioną osobiście przez niego samego do cesarza, pierwszy ochmistrz dworu książę Liechtenstein z polecenia monarchy zamianował reprezentantem i zastępcą urzędu ochmistrzowskiego przy wymienionym Komitecie — ministra ceremonii Edwarda Chołoniewskiego. Inicytywie Stanisława hr. Badeniego zawdzięczać należy pośpiech, z jakim sprawa potoczyła się nagle i toczyć się już będzie dalej prawidłowo. Dzięki też jego gorliwym i czynnym staraniom urząd ochmistrzowski nadesłał już Wydziałowi krajowemu do użytku plany restauracji, opracowane w r. 1881 roku przez s. p. Prylińskiego. Składają się one z rysunków, przedstawiających zamek w stanie aktualnym i z innych, odwzorujących go z możliwie dokładną historyczną ścisłością, jakim był w najświetniejszych chwilach swojego istnienia, gdy rezydowali w nim królowie polscy. W gronie komitetowem braknie architektki, co pewno w szerszych kołach społeczeństwa wywoła zdziwienie; dziwić się jednak temu nie należy. Wydział krajowy bowiem mniemał, że właśnie na Komitecie ciężcyć powinien obowiązek wskazania architektów polskich, mających wyrazić swoją opinię o głównym zarysie i szczegółach odbudowy. Nam się jednak zdaje, że powołani być muszą także i znakomici malarze nasi, spowinowaceni duchem i swoją twórczością z malowniczym obrazem wawelskiego zamku. Zdanie ich ściśle artystyczne, a zarazem fachowe oparte na głębokiej miłości piękna i dziejowej przeszłości, może mieć doniosłe znaczenie w uchwałach areopagu, złożonego przeważnie z mecenasów sztuki, estetów katedrowych i archeologów. Leon Wyczółkowski i Józef Mehoffer zdają się nam wskazani na doskonałych doradców przy odnowieniu pomnika, który w duszach i umysłach polskich, przedstawia się jako najszczytniejszy symbol naszej minionej sławy.

Z chwałą, w chmurnych czasach najnowszych spotkać się bardzo trudno, chyba, że — że źle nabytą. Taką posiadał w pośród groźnych i krwawych wypadków warszawskich, niejaki p. Mieszczański, współwłaściciel i administrator dziennika „Goniec poranny i wieczorny“, człowiek dotąd zupełnie nieznan, a obecnie głośny w całej Polsce czynem, smutnie go zapisującym w pamięci ludzkiej. Pełna dosadnej charakterystyki rycina, pomieszczona na drugiej stronicie poprzedniego numeru „Nowości illustrowanych“, pozostanie na zawsze wymownym świadectwem... nie wiemy, jak rzecz nazwać... jego beztaktu, głupoty, czy nikczemności. Dopiero przyszła historia ostatnich zaburzeń znajdzie dlań właściwą nazwę. W chwili wybuchu powszechnego bezrobocia w Warszawie, gdy już wszystkie miejscowe dzienniki nie wychodziły, sprowadził on do drukarni żandarmów i żołnierzy — i pod ich opiekuńczym bagnetem i nahajem wydał ostatni numer swojej brukowej gazetki. Fakt wywołał słuszne oburzenie w licznym personalu redakcyjnym, składającym się z kilkunastu młodych dziennikarzy. Żądali oni od p. Granowskiego, głównego wydawcy i nominalnego, naczelnego redaktora „Gońca“, aby natychmiast usunął skompromitowanego współnika, lecz życzeniom ich, z początku niby chętnie przyjętym, nie stało się zadość, p. Mieszczański bowiem domagał się jednorazowej spłaty swego dość znacznego udziału w przedsiębiorstwie, na co współwłaściciele, z powodu ogólnej stagnacji w ruchu pieniężnym, zdołać się nie mogli. Wobec tego, współpracownicy opuścili redakcję i wiadomość o swem wystąpieniu ogłosili we wszystkich dziennikach, w miarę jak

te ukazywać się zaczęły. Równocześnie Boleśław Prus (Aleksander Głowacki, jasna i promienna gwiazda, przyświecająca gazetce, skiemu firmamentowi polskiemu, przestał pisywać felietony do „Gońca“. Nadto trzeci współwydawca Dr. Józef Gutowski, opublikował następujące oświadczenie: „Wobec faktycznego i moralnego przeświadczenia, że dalsza moja styczność z współwłaścicielem „Gońca“ jest wręcz niemożliwą, zwłaszcza po gremjalnem ustąpieniu koła redakcyjnego, sprawę o rozwiązanie kontraktu powierzyłem w ręce mego adwokata“. Tak więc, źle nabyta chwała p. Mieszczańskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa zabije poranny i wieczorny dzienniczek, który — pomimo, że nie odznaczał się wcale szczególnymi jakimiś zaletami i przeciętnie był bardzo słabo redagowany — zdobył sobie jednak w ostatnich czasach ogromną popularność i rozprzedawał dziennie przeszło 40.000 egzempli.

Teraz, gdy sprawozdawcza kronika nasza dobiega już końca, musimy wyczerpać ryczałtowo i pośpiesznie materiały drobnych wieści, przyniesionych przez tydzień ubiegły. Nie podobna ich ująć w kompozycyjno-felietonowy układ, bo niesą ani sobie pokrewne, ani nawet bliskie, a rozpryskają się każda w inną stronę, jak krople deszczu, bijącego gwałtownie o kamienne płyty ulicznego chodnika. Regestrujemy je zatem, nie wiążąc z sobą w mozaikową całość. Przedewszystkiem zapisać tu należy odezwę, otrzymaną ze Lwowa i zaczynającą się od wyrazów: „Grono ludzi dobrej woli powzięło myśl uczczenia nieodżałowanej pamięci zgasłego w kwiecie wieku, niezwykle utalentowanego artysty dramatycznego Władysława Romana zbiorowem wydawnictwem. Wydawnictwo to miałoby przedewszystkiem na celu możliwe utrwalenie pamięci aktora, którego działalność z natury rzeczy przemija bez śladu, a jednocząc w sobie żywe jeszcze wspomnienia tych, którzy współdziałali w pracy polskiego artysty lub patrzyli na nią, stanowić będzie cenny materiał dla przyszłego historyografa teatru polskiego. Czysty dochód z wydawnictwa przeznaczony jest dla niezaopatrzonej rodziny po s. p. Romanie.“ Dla doprowadzenia do skutku dobrego i miłosiernego przedsięwzięcia utworzył się komitet, złożony z panów: Ludwika Solkiego, reżysera sceny lwowskiej, Juliusza Tennera, znanego estety i Władysława Antoniewskiego, artysty dramatycznego, a na jego czele stanął Tadeusz Pawlikowski, jak zawsze otaczający ojcowską opieką familję tych, którzy wiernie i wytrwale służyli sztuce pod jego sztandarem. Nie ulega wątpliwości, że wezwani do zapewnienia publikacji autorowie dramatyczni, krytycy teatralni i koledzy nieboszczyka (pomimo niezmierne krótkiego czasu wyznaczonego na dostarczenie rękopisów) przesłały redakcji książki zbiorowej swe najżywsze i najbarwniejsze wspomnienia o zmarłym, który tu w Krakowie, pod kierownictwem Pawlikowskiego, rozwinął się prawie nagle i w krótkim czasie zjednał sobie życzliwe uznanie całej naszej inteligentnej publiczności. Wydawnictwo pomieści także ilustrowany życiorys Romana.

Zygmunt Noskowski, jeden z najznakomitszych i najoryginalniejszych kompozytorów polskich, napisał operę, do której sam nakreślił libretto, osnute na kanwie dramatu „Ksenia“ Aurelego Urbańskiego. Od wykształconego melomana, który w przeszłym tygodniu powrócił z Warszawy, dowiadujemy się, że nowe dzieło dramatyczne autora „Livi Quintylli“ jest prześliczną kreacją, która prawdopodobnie po próbie ogniowej w teatrach warszawskim i lwowskim, wybiegnie na świat szeroki, aby na deskach lirycznych scen europejskich zdobywać zasłużone tryumfy... Nie wszystkich kandydatów, pragnących ubiegać się o dyрекcyę teatru krakowskiego wymieniliśmy w poprzedniej naszej kronice. Jak nam donoszą z pewnego źródła w szeregu ich stanął obecnie p. Juliusz Bandrowski, były dyrektor teatru lwowskiego, a w ostatnich czasach współpracownik warszawskiego dziennika „Słowo“. Kończymy naszą dzisiejszą gawędę stwierdzeniem wielkiego powodzenia, jakim w przeszłą sobotę cieszył się „bal artystyczny“. Uczniowie Akademii sztuk pięknych udekorowali olbrzymią salą „Sokoła“ w stylu japońskim; przedstawicielki i przedstawiciele wszystkich światów towarzyskich zgromadzili się w niej bardzo licznie; obie galerie przepełniły się ciekawymi widzami; toalety dam błyszczały dobrym smakiem i elegancją; nie brakło między niemi nawet dwóch strojów staro-japońskich, zwanych „kimono“; tańczono i bawiono się ochoczo do rana... Słowem, bal dzieci sztuki był prawdziwym „clou“ tegorocznego karnawału. Dosięgnął wyżyn sukcesu, na które nie wzniósł się dotąd żaden z poprzednich. Verax.